

Aż do ofiary życia

Marcin Zwolski

W roku 1945 nie wszyscy mogli znów poczuć się bezpiecznie. W pierwszych latach powojennych wielu Polaków nadal ryzykowało życie – swoje, a czasem też swoich bliskich.

Już w czasie II wojny światowej nie brakowało postaw ryzykownych. Pomoc ukrywającym się Żydom, przekazywanie żywności jeńcom wojennym, pośredniczenie w kontaktach z więźniami, opór wobec zarządzeń władz – wszystko to, choć chwalebne, było igraniem z własnym życiem. Osobną kategorią były związki z konspiracją zbrojną i polityczną, czasem bardzo luźne, polegające na udzieleniu schronienia, przekazaniu żywności członkom podziemia, a nawet okazaniu sympatii ich działaniom. Z ofiarą krwi stale musieli się liczyć aktywni konspiratorzy, przede wszystkim żołnierze oddziałów zbrojnych.

Po pierwsze: wolność

Obecnie jedynie nieliczni ryzykują czasem życie dla dobra innych – wynika to zwykle z wykonywanego przez nich za-

wodu (m.in. żołnierze, policjanci, strażacy). Pozostali obywatele nie muszą tego robić i różnie podchodzą do takiej ofiary. Znana artystka Maria Peszek stwierdziła w wywiadzie: „Życie jest ważniejsze niż jakakolwiek idea, dlatego nie oddałabym ani jednej kropli krwi za ojczyznę”. Na pytanie, kto ma walczyć i ginąć za Polskę, odpowiedziała: „Jeżeli ktoś ma taką potrzebę, to bardzo proszę. Zawsze byli ludzie, którzy takie potrzeby mieli, i tacy, którzy ich nie mieli”. Wypowiedź ta, choć z pewnością dla wielu kontrowersyjna, wcale nie musi dyskredyto-

Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia.

(fragment przysięgi Armii Krajowej)

wać artystki – ma ona prawo mieć takie poglądy. Może je mieć, bo żyje w wolnym kraju. Pytanie brzmi, czy mogłaby je swobodnie głosić, gdyby ktoś tej wolności nie wywalczył. Bo, jak napisał jeden z tych, którzy oddali życie w walce o wolną ojczyznę – żołnierz podziemia antykomunistycznego Zdzisław Broński „Uskok”: „Życie poświęcić warto jest tylko dla jednej idei, idei wolności! Jeśli



► Major Hieronim Dekutowski „Zapora” oddał życie za ojczyznę 7 marca 1949 roku

walczyliśmy i ponosimy ofiary, to dlatego, że chcemy właśnie żyć, ale żyć jako ludzie wolni, w wolnej ojczyźnie”.

Aby zrozumieć postawy dużej części społeczeństwa, która była gotowa ryzykować własny dobytek, szczęście, zdrowie, a nawet życie dla dobra ojczyzny, należy cofnąć się do czasów międzywojennych i przyjrzeć się ówczesnej dumie z odzyskania wolności i niepodległości. W Polsce lat dwudziestych i trzydziestych kultywowano etos własnego, niezależnego państwa i pamięć o wieloletniej walce o nie. Mundur żołnierski jako symbol walki o niepodległość był niemal przedmiotem kultu, a noszący go cieszyli się powszechnym szacunkiem. Wszyscy bowiem pamiętali niewolę.

Uwielbienie wolności i docenienie walczących o nią ludzi przekładały się na wychowanie młodzieży – zarówno w szkole, jak i w domach. Młodzi wyrostali w duchu patriotyzmu i poświęcenia ojczyźnie. Później, w latach wojny, niektórzy wielokrotnie ocierali się o śmierć, walcząc przeciwko okupantom. Nawet ci, którzy – z racji wieku – nie mogli jeszcze nosić broni, byli świadkami okrucieństw okresu okupacji, to zaś zahartowało ich psychikę i znieczuliło wrażliwość. Swoje znaczenie miało też to, że mało która rodzina nie poniosła strat wojennych – prawie każdy pożegnał brata, ojca, krewnych lub kolegów. To czyniło twarde. Ci, którzy u schyłku II wojny światowej uznali, że walkę należy kontynuować – tym razem przeciwko komunistom – byli przygotowani psychicznie na to ryzyko.

Śmierć jako ryzyko oporu

Jest oczywiste, że żołnierz na polu walki ryzykuje życie. Specyfika sytuacji członków podziemia niepodległościowego w Polsce w latach 1944–1956 polegała na tym, że nie wszyscy oni walczyli z bronią w ręku, a zagrożenie śmiercią nie wiązało się w ich przypadku jedynie z walką zbrojną – była nim obciążona właściwie każda forma działalności opozycyjnej, która mogła doprowadzić do aresztowania, a następnie śmierci – w wyniku tortur stosowanych podczas śledztw albo wyroku orzeczonego przez sąd. Każdy zatem rozpoczynający działalność przeciwko władzy komunistycznej musiał się liczyć ze śmiercią. Osobną kwestią jest to, czy rzeczywiście zdawał sobie sprawę z tego ryzyka i czy był psychicznie gotowy na taką ofiarę.

Partyzanci i uzbrojeni członkowie podziemia wielokrotnie deklarowali gotowość do oddania życia za idee, o które walczyli. Widać to choćby w tekstach śpiewanych przez nich piosenek, na przykład w tych najbardziej popularnych: *Dziś do Ciebie przyjść nie mogę* („Gdy nie wrócę, niechaj wiosną moją rolę sieje brat, kości moje mchem porosną i użyźnią ziemi szmat”) i *Rozszumiały się wierzby płaczące* („Do tańca grają nam granaty,

wisów szczęk, śmierć kosi niby łąn, lecz my nie wiemy, co to lęk”). Leśni rozumieli zawarte w nich przesłanie. „Uskok”, który ukrywał się przed funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa, pisał: „Czy nam, partyzantom, kiedykolwiek coś się opłacało? I czy się opłaci? Dla nas? – Ty giniesz, by naród mógł żyć! – mówi partyzancka piosenka i zamyka wszelkie komentarze”. Gotowość na śmierć była często przywoływana w pamiętnikach uczestników oporu antykomunistycznego, w ich wspomnieniach oraz listach do bliskich. Sygnalizowali ją zarówno walczący z bronią w ręku, jak i uczestnicy konspiracyjnych struktur cywilnych.

Deklaracja gotowości do oddania życia za ojczyznę była w szeregach podziemia antykomunistycznego czymś oczywistym, wynikającym chociażby z roty składanej przysięgi konspiracyjnej. Można wręcz stwierdzić, że osoba, która odmówiłaby złożenia takiej deklaracji, nie mogłaby należeć do organizacji. Deklaracja „nie poddam się, raczej zginę” czy „prędzej zginę, niż zdradzę współpracowników i nasze tajemnice” była potrzebna do utrzymania wzajemnego zaufania i podniesienia morale. Tylko z osobą, która złożyła taką przysięgę, można było iść razem w bój albo powierzyć jej konspiracyjną pocztę czy wiedzę o tajnych strukturach. Czy jednak te deklaracje nie były tylko słowami wypowiedzianymi, bo tego oczekiwali inni? Czy były składane do końca świadomie i – przede wszystkim – czy przysięgi były dotrzymywane?

Samo wstąpienie w szeregi konspiracji było już pewną formą weryfikacji tych deklaracji. Nawet jeśli ktoś robił to wiedziony impulsem czy młodzieńczą fantazją, to doskonale przecież zdawał sobie sprawę z tego, że ryzyko utraty życia jest w organizacji o wiele większe, niż gdyby się w nią nie angażował.

Paradoksalnie, udział w walce zbrojnej raczej nie dowodził gotowości na śmierć, bo walczone jednak o życie, a jeśli ktoś ginął, to z ręki wroga, nie godząc się na to. Wyjątkiem byli oczywiście ci żołnierze podziemia, którzy ranni lub otoczeni, nie widząc nadziei na ucieczkę, z obawy ▶



Fot. AIPN

przed torturami albo po prostu uważając, że tak trzeba, sami odbierali sobie życie, dając najmocniejszy dowód na to, że złożone przysięgi traktowali poważnie. W literaturze zostały opisane liczne przykłady takich zachowań. Samobójstwo, które miało uniemożliwić aresztowanie przez UB, było postrzegane w środowisku leśnych jako czyn bohaterski: „Wszyscy z dumą wspominamy tych poległych kolegów, którzy wobec podlego i nikczemnego wroga okazały pogardę życia posuniętą do odbierania sobie tegoż życia własnoręcznie” – pisał „Uskok”. Poza wymiarem symbolicznym miało to też praktyczną przyczynę – zatrzymany mógł nie wytrzymać tortur i wsypać towarzyszy, a od zmarłego Urząd Bezpieczeństwa nie mógł się już niczego dowiedzieć.

Śmierć w katowniach UB

Najtrudniejsza próba charakteru czekała tych, którzy trafili w ręce UB. Mieli oni bowiem czas na analizę swojej sytuacji. Zazwyczaj doskonale wiedzieli, co mogą zrobić, aby ratować swoje życie. Stało to jednak w sprzeczności z wyznawanymi przez nich ideałami oraz ze złożoną przysięgą. Decyzje, które podejmowali pod wpływem brutalnych metod śledczych UB i pod presją śmierci, były różne. Wielu nie wytrzymało i zdradzało śledczym interesujące ich fakty, co i tak nie zawsze ich ratowało. Najdrastyczniejsze tortury przechodzili jednak ci, którzy trwali w oporze.

Osoby niegodzące się na współpracę z UB i składanie zeznań obciążających towarzyszy ryzykowały utratę życia w wyniku tortur, celowego mordu dokonanego przez funkcjonariuszy bądź egzekucji wykonywanej na mocy orzeczonego wyroku śmierci. Zdarzało się, że wybierały czwartą drogę i popełniały samobójstwo w celi lub nawet w pokoju przesłuchań. Była to zwykle forma ucieczki przed cierpieniami zadawanymi przez funkcjonariuszy, ale czyn taki mógł też być rezultatem obawy o własną postawę – czy wytrzymam dalsze śledztwo, czy się nie załamie i nie zdradzę organizacji.

Nie jest możliwe określenie, jak wielu aresztowanych członków konspiracji antykomunistycznej zostało w czasie śledztw złamanych. Nie ma też chyba sensu rozpatrywać tego w kategoriach liczbowych, bo i tak nikt nie ma moralnego prawa oceniać tych, którzy nie wytrzymali tortur. Literatura przedmiotu, ze zrozumiałych względów, skupia się zwykle na prezentowaniu postaw heroicznych, których było naprawdę dużo. Większość z tych, którzy nie chcieli dostarczyć bezpiecze interesujących ją informacji, starała się podać dane mało istotne lub fałszywe, aby z jednej strony nie zaszkodzić swoim towarzyszom, a z drugiej – choć na chwilę przerwać swoje męki. Byli jednak i tacy, którzy demonstracyjnie odmawiali jakichkolwiek zeznań, tak jak Zygmunt Truskowski „Wilczak”, który na żądania śledczego, aby przyznał się do zarzucanych czynów i podał innych ich sprawców, odpowiedział: „Wszystko jedno, czy przyznam się, czy się nie przyznam, to wiem, że dostanę karę śmierci”. Został stracony w więzieniu w Białymstoku w 1946 roku. O tym, że niektórzy konspiratorzy zginą, a nie pomogą w żaden sposób UB, byli przekonani ich towarzysze, a nawet rodzina. Matka zabitego przez bezpiekę w 1946 roku Stanisława Ciołka „Lwa” na wieść o jego śmierci stwierdziła: „Zginął, bo nie chciał im nic powiedzieć. Wiedziałam, że nie powie! Był dobrym Polakiem i zginął za Polskę”.

Chociaż tortury stosowane przez bezpiekę nieraz doprowadzały do śmierci przesłuchiwanym, nie miały one na celu fizycznej eliminacji, lecz wymuszenie przyznania się do zarzutów i uzyskanie informacji obciążających inne osoby. Znane są jednak liczne przypadki, kiedy funkcjonariusze wpadali w szal, np. będąc pod wpływem alkoholu, i umyślnie zabijali aresztantów, a nawet decydowali się na ich likwidację „na chłodno”, zwykle po wywiezieniu w odludne miejsce. Fakty te były znane już wówczas, więc więźniowie mieli uzasadnione obawy, że ich także może spotkać taki los. Dlatego też, gdy funkcjonariusze oznajmiali przesłuchiwanemu, który nie chciał zeznawać

tak, jak oni sobie życzyli, że jeśli nie zmieni swojej postawy, to wywożą go i zabiją, ten traktował to z reguły poważnie. Szczególnie wtedy, gdy pakowano go w nocy w samochód, wywożono do lasu i kazano kopać własny grób. Zazwyczaj była to jednak tylko kolejna próba złamania więźnia, kończona wycofaniem wycelowanej broni albo suchym trzaskiem iglicy w pustej komorze naboju i stwierdzeniem: „Jeszcze nie dzisiaj”. Niektórzy przeszli przez tę psychiczną torturę kilkukrotnie, zastanawiając się za każdym razem, czy teraz już rzeczywiście nastąpi ich koniec. Nawet wtedy wielu się nie ugięło, wybierając śmierć, a nie zdradę.

Śmierć z wyroku

Gdy kończyło się śledztwo, zmaltretowany fizycznie i psychicznie więzień stawał przed sądem, który ferował surowe wyroki opatrzone nagłówkiem: „W imieniu Rzeczypospolitej” (od 1952 roku: Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej). Proces, podczas którego sędzia, prokurator, a czasem nawet i obrońca dbali o taki jego przebieg, aby do końca upodlić oskarżonego i nie pozostawić nikomu wątpliwości, że oto stoi przed nimi najgorszy zbrodniarz, był kolejnym etapem represji. Postawy przyjmowane przed sądem przez tych oskarżonych członków podziemia antykomunistycznego, którym groziła kara śmierci, były różne. Ci, którzy zostali złamani w śledztwie, potwierdzali zeznania ustalone ze śledczymi. Ci, którzy się nie poddali, przyjmowali zazwyczaj jedną z dwóch postaw – negowali swoją winę i odmawiali składania wyjaśnień, wychodząc z założenia, że cały proces jest farsą, z finałem ustalonym z góry; albo podejmowali próbę obrony nie tyle siebie, ile swoich ideałów.

Tę ostatnią drogę wybrał m.in. ks. Władysław Gurgacz, kapelan organizacji niepodległościowych, sądzony w 1949 roku w Krakowie razem z innymi członkami konspiracji. Podczas procesu powiedział: „Ci młodzi ludzie, których tutaj sądzicie, to nie bandyci, jak ich oszczerczo nazywacie, ale obrońcy ojczyzny! Nie żałuję tego, co czyniłem. Moje czyny były

zgodne z tym, o czym myślą miliony Polaków, tych Polaków, o których obecnym losie zdecydowały bagnety NKWD. Na śmierć pójść chętnie. Cóż to jest zresztą śmierć?... Wierzę, że każda kropla krwi niewinnie przelanej zrodzi tysiące przeciwników i obróci się wam na zgubę”. Ksiądz Gurgacz został skazany i stracony jeszcze w tym samym roku. Wypowiadając taką mowę obrońcą, z pewnością wiedział, że traci w ten sposób szansę na ulaskawienie.

Skazani różnie reagowali na ogłoszenie wyroku, ale przeważał szok. Chociaż przygotowywali się psychicznie na taką decyzję sądu, w większości przyznawali później, że po tym, co usłyszeli, czuli się ogłuszeni, nie zdawali sobie do końca sprawy z tego, co się dzieje. Szczególną reakcją, też czasem odnotowywaną, była pewnego rodzaju satysfakcja. Niektórzy, uważając komunistów za nowych okupantów, orzeczony przez nich wyrok śmierci uznawali za wyraz docenienia swojej walki, swego rodzaju świadectwo, że godnie walczyli, że byli dla okupanta groźni. Janina Kruk „Laryssa”, skazana na śmierć w Warszawie w 1949 roku, stwierdziła: „Karę śmierci, może to śmieszne, ale przyjąłem jako coś, co mi się należy. Jako coś, na co sobie godnie zapracowałam. Nie prosiłam o wybaczenie. Powiedziałam, że jestem dumna z tego, wypełniałam obowiązek wobec ojczyzny, broniąc jej przed okupacją komunistów”. Mieczysław Chojnacki „Młodzik” napisał wprost: „Sądząc po długotrwałym śledztwie i wyrokach otrzymanych przez czwartą komendę WiN, można uważać, że wróg docenił wartość polskiego przeciwnika” (w procesie IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” zapadło siedem wyroków śmierci). Przejawem przekonania, że kara śmierci jest pewnego rodzaju wyróżnieniem, mogło być też to, że niektórzy skazani odmawiali pisania podań o ulaskawienie.

Przedsiomek śmierci

Z orzeczonym wyrokiem śmierci, zwanym w gwarze więziennej kaesem lub pestką, skazaniec trafiał ponownie do więzienia. Czasem siedział nadal razem

z innymi osadzonymi, ale najczęściej była to tzw. cela śmierci – pojedyncza, ewentualnie zbiorowa, w której większość bądź wszyscy byli skazani na taki wyrok. Pobyt w takiej celi i bierno czekanie na wykonanie wyroku, bez znajomości jego terminu, były ogromnym obciążeniem psychicznym. Wszyscy, którzy przeżyli lub pozostawili jakieś świadectwo, zgadzali się, że nie śmierć jest najgorsza, lecz oczekiwanie na nią.

Niektórzy od razu pogodzili się z wyrokiem i nie mieli nadziei na ulaskawienie. Aleksander Rybnik „Jerzy” zaraz po rozprawie napisał gryps do żony i synka: „Dziś słyszałem, że jestem skazany na śmierć. Słyszałem, jak mówili »ma wyrok śmierci«. Kochani moi, trudno, taka widocznie jest wola Boża, ażeby moje życie skończyło się nagle [...]. Dziś lub jutro zamelduję się u św. Piotra i poproszę o przyjęcie mnie do raportu, a św. Piotr otworzy bramę”. Inni do końca wierzyli, że zostaną ulaskawieni, wydawało im się bowiem nierealne, że taka może być zapłata za ich oddanie dla ojczyzny.

Czas spędzony w celi śmierci wykorzystywali, myśląc o swoim życiu i rozliczając się z nim. W listach do najbliższych najczęściej nie wycofywali się ze swoich przekonań, wręcz przeciwnie. Ostatni prezes WiN, Łukasz Ciepłiński „Pług”, pisał przed egzekucją do żony i syna: „Odbiorą mi tylko życie. A to nie najważniejsze. Cieszę się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Polskę niepodległą i szczęśliwą”.

Skazańcy przygotowywali się też na spotkanie z katem. „Rzecz polega na tym, aby czerwonym katom nie dać satysfakcji, okazując w tym krótkim czasie strach przed śmiercią z ich rąk” – pisał Chojnacki „Młodzik”. Antoni Heda „Szary” wspominał: „Zależało mi tylko na tym, żeby zdążyć przed śmiercią wykrzyknąć: Jeszcze Polska nie zginęła”. Godne pójście na śmierć uważali za honor i swój obowiązek – jakby dalszą, ostatnią część ich walki i ostateczny sprawdzian gotowości oddania życia za Ojczyznę. Pomagała wiara w Boga i życie pozagrobowe. Wszyscy dużo się modlili.

Godnie zginąć z ręki kata

Nieprawdą byłoby stwierdzenie, że wszyscy skazani żołnierze podziemia antykomunistycznego szli na śmierć spokojnie. Niektórzy bronili się rozpaczliwie i krzyczeli. Jednak bezpośredni świadkowie twierdzą, że tych ostatnich było zdecydowanie mniej. Wywołany na wykonanie wyroku Zygmunt Szendzielarz „Lupaszka” według współwięźnia „podszedł spokojnie do drzwi, następnie zatrzymał się przez chwilę, odwracając bokiem do pozostających w celi i pożegnał słowami: »z Bogiem, panowie«. Odpowiedział mu chór głosów: »z Bogiem«”. Podobnie na śmierć szli jego żołnierze z brygad wileńskich Armii Krajowej. Pod wrażeniem postawy członków konspiracji w obliczu nieuchronnej śmierci byli też nieraz przedstawiciele władz komunistycznych, a nawet kaci. Prokurator Witold Gatner, który nadzorował wykonanie wyroku śmierci na Augustynie Fieldorfie „Nilu”, zeznał po latach: „Mężczyzna nie opierał się, szedł spokojnie i całkowicie o własnych siłach. [...] patrzył mi cały czas w oczy. Stał wyprostowany. Nikt go nie podtrzymywał”.

Szczególnie wiele relacji o zachowaniu skazańców zostawił ks. Hieronim Lewandowski, w latach 1945–1952 kapelan w więzieniu karno-śledczym przy ulicy Młyńskiej w Poznaniu. Jeden z nich stwierdził ponoć przed egzekucją: „Ofiaruję swoje życie za wolną Polskę”. Inny modlił się: „Dziękuję Ci, Panie Jezu, za wszystkie łaski dnia dzisiejszego. Jak ja się cieszę, że idę do Ciebie”, a gdy zapytano go, czy ma ostatnie życzenie, po wojskowemu stuknął obcasami i powiedział: „Do widzenia. Dokąd ja idę, wy też pójdziecie”. Ksiądz Marian Prusak był świadkiem egzekucji Danuty Siedzikówny „Inki” i Feliksa Selmanowicza „Zagończyka” w Gdańsku w 1946 roku. Oboje nie pozwolili zawiązać sobie oczu, a w momencie wypowiedzenia komendy „Ognia” krzyknęły wspólnie: „Niech żyje Polska!”.

Tekst na podstawie referatu wygłoszonego na konferencji „Życiodajna śmierć” w Białymstoku, 23–26 maja 2013 roku.

dr Marcin Zwolski – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku